

POLSKIE ŻAGLE W VANCOUVER

Dobrze, że nie pada. Listopad w Vancouver jest z natury bardzo dżdżysty, ale dziś jest wyjątkowo pogodnie, choć nie tak jak przed miesiącem, kiedy tu była niemal letnia pogoda.

Skręcam w ulicę Robson. Trzymam się prawej strony, polując na jakieś miejsce do zaparkowania. Potrzebuję stanąć tylko na chwilę, aby wpaść do London Drugs. Jakiś japończyk odbił właśnie od krawężnika, luzując mi ciasne miejsce, w które wciskam się z trudem swoim potężnym dodge'em. Spoglądam na zegarek – niewiele czasu. Ela zostaje w samochodzie, a ja wpadam do sklepu jak bomba. Zakup miałem już upatrzony, ale mimo to trudno było mi się zdecydować. W końcu zdjąłem długie pudło ze statywem z półki i podbiegłem do kasy.

Na Denman przed Georgią trochę się zakorkowało. Rzucam ponownie okiem na zegarek. Myślę, że mają jeszcze kilka mil. Coś czerwonego zamigotało na tablicy – rezerwa! Mam nadzieję, że załatwię sprawę na tym, co mam w baku.

Nieco szybciej, niż jest to dozwolone, objeżdżam Stanley Park. Zwalniam jedynie przy Wet Suit Girl, która o tej porze dnia moczy swoje zgrabne nogi w Burrard Inlet. Lubię tę brązową postać dziewczyny, która kojarzy mi się z młodzieńczymi latami, kiedy bywałem często w Kopenhadze u stóp tamtejszej syrenki.

Krętą drogą, wzdłuż Avison Trawl, wspinam się na Prospekt Point, gdzie znalazłszy miejsce, natychmiast parkuję. Wyskakuję z samochodu i, nie zamykając drzwi, pędzę w kierunku barierki okalającej taras widokowy. Serce bije mi mocno, czort jeden wie, czemu jestem aż tak podniecony.

Spoglądam na wody Burrard Inlet, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Lekkie przymglenie horyzontu skraca perspektywę. Przywykłe do wielkich przestrzeni oko wylawia w oddali maleńki punkcik. To może być tylko ON – „ZAWISZA CZARNY”!

Napięcie opada, serce się uspokaja – zdażyłem. Dopiero teraz Ela stanęła obok mnie.

– No i co? Jest?

– Zdażyliśmy, Mała, jesteśmy w sam raz.

Wracam do samochodu i wyciągam sprzęt. Ustawiam kamerę na statywie i uzbrajam mojego „Olympusa” w ulubionego soligora ze zmienną ogniskową.

„Zawisza” jest jeszcze zbyt daleko, to lekkie przymglenie gubi kontrasty i utrudnia dalekie filmowanie i fotografowanie. Woda jest gładka, szklista niemal. Polski żaglowiec pozostawia za sobą długo nieginący

Tomasz SOBIESZCZAŃSKI-LOBO

Vancouver – „Sirius”

kilwater. W tle przymglony Herman, Wodsley i Dundarawe na West Vancouver, których domy wznoszą się na zboczach wzgórz, a nad nimi królują : Mt. Black, Mt. Strachan i Mt. Hollyburn.

Prowadzę „Zawiszę” kamerą, próbując już coś zrobić. Nie idzie mi to filmowanie, coś z tym nowym statywem nie tak, gdzieś się przycina, ma jakieś luzy, obraz się szarpie i nie jest stabilny. Denerwuję się, co jeszcze pogarsza sprawę. Przenoszę kamerę w inne miejsce, nieco niżej, gdzie będzie widać jacht przechodzący pod Lion’s Gate i skąd będę mógł go obserwować dłużej.

Zapatrzony w przesuwającego się w dole „Zawiszę Czarnego”, na moment zapomniałem o filmowaniu i fotografowaniu. Myśli uciekły mi na pokład jachtu, który właśnie przemierzył Pacyfik. Zazdrościłem im trochę. Mimo że przepłynąłem niemal wszystkie oceany i morza w swoim zawodzie, to wciąż tkwi we mnie, dziecięce jeszcze, marzenie opłynięcia świata pod żaglami; na pokładzie bliskim powierzchni morza, skąd fala wydaje się większa, a niebo odleglejsze. Przecież smak wody morskiej znam dobrze, ale marzy mi się melodia lekko łopoczącego, niezbyt mocno podebranego żagla.

Patrzyłem z góry na jasny, drewniany pokład jachtu, na uwijające się po nim pomarańczowe sylwetki żeglarzy, na daleko wybiegający przed dziób bukszpryt i czułem, że duszą jestem wśród nich, być może przyszlých rybaków czy marynarzy.

Na tarasie zebrała się spora grupa miejscowych i turystów, którzy głośno komentowali wejście do Vancouver żaglowca. Oczywiście nie omieszkałem z satysfakcją wyjaśnić oglądającym i fotografującym, że to nasz, polski jacht „Zawisza Czarna” w swojej okołoziemskiej podróży zawija właśnie do portu Vancouver na kilka dni odpoczynku po przeprawie przez Pacyfik.

Jacht wszedł już w First Narrows i wydał się bardzo malutki pod potężnym, wiszącym przesłem Lion’s Gate Bridge. Właśnie pod mostem minął go niewielki miejscowy kuter, którego załoga bardzo serdecznie machała rękoma w kierunku polskich żeglarzy. Zrobiłem ostatnie ujęcia i zebrawszy do kupy sprzęt, pobiegłem do samochodu.

*

Do miejsca, gdzie miał cumować „Zawisza”, było niemało drogi, ale miałem nadzieję, że samochodem będę wcześniej. Popędzałem Elę, aby nie marudziła z wsiadaniem.

Krętą Scenic Driver, biegnącą przez uroczy Stanley Park, sunąłem niemal bezszelestnie. Głowę miałem zaprzątniętą żeglowaniem. W mojej wyobraźni powstawały obrazy z żeglugi „Zawiszy” przez Pacyfik.

Wpadam na Georgię i - żeby nie stanąć w nieodpowiednim momencie - tankuję u Chevrona. Z lewej za oknem samochodu przesuwają się piękna marina – może kiedyś podobną będziemy mieli w Gdańsku „Na Stępcie”.

Parę zakrętów i znów łapię kontakt z Burrard Inlet. Jadę bardzo wolno, gdyż spodziewam się na lustrzanej wodzie dojrzeć polski żaglowiec. Znam to przejście bardzo dobrze, już wielokrotnie wchodziłem do tego portu swoim statkiem i wiem, w którym miejscu powinien teraz znajdować się „Zawisza”.

Jest! Bezwiednie przyhamowałem, gdyby ktoś za mną jechał, to pewnie by mnie stuknął. Jacht właśnie trawersował Kanada Place. Zniknął mi na chwilę za pięknym hotelem i pasażerską przystanią, aby pojawić się ponownie, gdy wypadłem na Port Broadway. Na tle zalesionych zboczy wykończonych białymi czapami śniegu przesuwają się trzy-masztowy szkuner, na którego rufie powiewała polska bandera. Było w tym coś fascynującego, rozpierała mnie jakaś wewnętrzna duma i satysfakcja, choć nie ja dowodziłem tym szkunerem i choć nie ja opływałem świat pod żaglami.

Ela czuwała nade mną, abym na coś nie wjechał, uciekając co chwila wzrokiem ku wodzie.

W końcu skręciłem w Dunlewy i oderwałem się od brzegu. Cordobą okrążyłem indiański park i aleją Hatley wjechałem na portowe nabrzeża. Jeszcze parę zawijasów i już pędziłem nabrzeżem, przy którym cumował mój „Sirius”.

Znów wyskakuję z samochodu zbyt energicznie, jakbym bał się utracić jakiś ważny moment. Ela gani mnie za tę nerwowość, ale sama też szybko opuszcza naszego dodge’a, gdy zauważa, że „Zawisza” przesuwają się właśnie na tle doków Versatile. Pokazało się trochę słońca i zwiększyły się nieco kontrasty. Na zbliżeniu mogłem już rozpoznać, porostawianych wzdłuż burt do manewrów, żeglarzy.

Nie znam tam nikogo, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? – wszyscy jesteśmy jedną wielką Morską Rodziną. Ktoś uwija się po pokładzie z kamerą, któryś z żeglarzy podnosi do oczu aparat. Żaglowiec okrąża rufy mojego statku i „Deneboli”, która jest zacumowana do mojej lewej burty. Idę wzdłuż kei, tak jak przesuwają się „Zawisza”.

Grupka witających, na którą składają się miejscowi, stosowni do okoliczności, urzędnicy, Polacy mieszkający w Vancouver i rybacy ze stojących w porcie polskich statków, przygląda się manewrującemu jachtowi i jego załodze. Wejścia do portów są zawsze bardzo wzruszające i miłe. Pamiętam, jak bardzo mocno przeżywałem mój pierwszy powrót z Labradoru do Gdyni i potem, kiedy pierwszy raz wracałem z Falklandów „Andromeda” – już jako kapitan.

*Tomasz SOBIESZCZAŃSKI-LOBO
Vancouver – „Sirius”*

W obcym porcie powroty z morza przeżywa się nieco inaczej, gdyż jest to tylko zamknięcie jakiegoś kolejnego etapu Wielkiej Przygody, ale jest coś w tych wszystkich powrotach wspólnego, coś podniecającego, podskórniego, bardzo trudnego do określenia i wytłumaczenia. Trzeba to raz chociaż przeżyć, żeby zrozumieć, o co tu chodzi.

Na keję spadła pierwsza cuma – „Zawisza Czarny” znów związał się z ziemią. Polska bandera żeglarska, rozwinięta lekkim powiewem od wody, falowała teraz na tle polskich statków rybackich cumujących przy tym samym nabrzeżu. Jedyne delikatnie przyprószone śniegiem w wyższych partiach góry, wybiegające wprost z wód zatoki na North-Vancouver, przypominały nam, że jesteśmy w Kanadzie.

Kapitan Jan Ludwig wydał ostatnie komendy, nad których wykonaniem czuwał bosman Wachowski, i w chwilę potem burtę „Zawiszy Czarnego” połączył z kanadyjską ziemią trap. Przywitaniom i serdecznym gestom, jak zawsze w podobnych chwilach, nie było końca. Przez reling jachtu sypią się w obie strony pytania i odpowiedzi.

Jacht prezentował się bardzo dobrze; pokład czysty, liny i żagle starannie sklarowane – nie widać po jednostce ciężaru przebytej żeglugi. Tylko oni wiedzą, co przeszli i jak naprawdę było ciężko.

*

Któregoś dnia zawitałem do żeglarskiego kubryku. Byłem bardzo ciekaw wrażeń młodych ludzi, którzy niemal wszyscy po raz pierwszy uczestniczyli w tak dalekiej wyprawie.

– Przelot przez Pacyfik pod żaglami nie jest takim pospolitym wydarzeniem. Jest to na pewno duża atrakcja, ale nie jest to ani łatwe, ani lekkie. Jak to było? – pytam sympatyczną młodą żeglarke, Anetę Ameryk.

– Przygotowałam się psychicznie na dużo cięższe przejście, myślałam, że będzie dużo zimniej, niż było. Na szczęście najzimniej było tylko 7 stopni. Owszem, było sporo gęstej mgły i deszczy, ale dało się to znieść. Bardziej bałam się, że nie najlepiej będzie między nami, ale okazało się, że moje obawy były płonne; było bardzo sympatycznie. Ten długi przelot bardzo mocno nas zbliżył. Było między nami dużo lepiej niż teraz w porcie, gdzie każdy ma własne sprawy, własnych znajomych i żyje własnym życiem. Na morzu mieliśmy jedno, wspólne życie. Dużo śpiewaliśmy, a wachty wyznaczały rytm każdego dnia. Na pewno byliśmy w tych dniach bardzo zgraną paczką.

– A co o tej przygodzie ty myślisz? – zwracam się do Marka Tomeckiego.

– Taki rejs jest marzeniem bardzo wielu młodych ludzi, dla mnie to też wydarzenie życia, rejs wymarzony, wyczytany w książkach, wyśniony po nocach. Kiedy dowiedziałem się, że będę w nim uczestniczył, to byłem naprawdę szczęśliwy. Nie szukałem w rejsie potwierdzenia tego, o czym kiedyś czytałem, chciałem odebrać to wszystko bez żadnej sugestii. Z zawodu jestem marynarzem śródlądowym, gdyż w pewnym okresie nie mogłem zostać marynarzem morskim, ten rejs upewnił mnie, że powinienem pracować na morzu. Podoba mi się to i czuję, że z morzem się dobrze rozumiemy.

– A co z twoją przyszłością? – zwracam się ponownie do Anety.

– Myślę, że dalej będę pływała po morzu, bo mnie to bardzo wciągnęło. Ten rejs jest moim już trzecim rejsiem morskim, oczywiście poprzednie nie były tak znaczące jak ten, ale z wodą jestem już zaprzyjaźniona. Mam zamiar zrobić dyplom sternika morskiego. Tutaj mieliśmy wykłady z żeglarstwa, które prowadzili oficerowie. Jak nabędę trochę więcej doświadczenia i zdam egzaminy, to na pewno będę dużo żeglować. Chcę dobrze poznać Bałtyk, który interesuje mnie zawodowo; jestem oceanografem. Chciałabym dobrze poznać Zatokę Botnicką, może nie tylko jej żeglarskie walory, ale przede wszystkim przyrodę.

Mówili jeszcze o wietrze, o fali, o wszędobylskiej wilgoci, o „krzywym” pokładzie i podartych żaglach. Podniecali się, wspominając różne, nawet pozornie mało znaczące wydarzenia. Dla mnie cudowne było to, że wszyscy mówili z pasją, z iskierką fascynacji w oku, z jakąś tęsknotą za tym, co było.

Kiedy rozmawialiśmy w moim salonie na m/t „Sirius” o rybołówstwie, kiedy zderzyłem ich wyobrażenia o moim zawodzie z rzeczywistością, demonstrując im mój bardzo nowoczesny statek, czułem, że z tej całej damsko-męskiej żeglarskiej gromadki ktoś pomarzył o tym, żeby stanąć na takim mostku jak mój ze stosownym patentem w kieszeni, czułem, że ktoś w tej gromadce pomarzył o spędzeniu życia na morzu i dla morza.
